

ROBERT

BYRON

Europa

w zwierciadle

ROBERT

BYRON

Europa

w zwierciadle

Tłumaczyła Dorota Kozińska



Warszawa 2020

Robert Byron, *Europe in the Looking-Glass*

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Próby
Copyright © for the translation by Dorota Kozińska
Warszawa 2020

ISBN 978-83-959036-3-2

część
pierwsza

Policjant, kroczący statecznie po lewej stronie Upper Brook Street o wpół do dwunastej w duszną piątkową noc 1 sierpnia 1925 roku, ku swojemu zdumieniu natknął się na trzy rozciągnięte na chodniku postaci, studiujące mapę w przyćmionym, zielonkawym świetle latarni. Przy krawężniku stał potężny tourer z piętrzącą się w tyle stertą kufrów i waliz. Policjant zawahał się chwilę, po czym wyciągnął szyję, żeby samemu zerknąć na mapę; jeśli miał dobry wzrok, być może do dziś pamięta rozpościerające się przed nim ciemne kontury wschodniej Anglii, ograniczonej od zachodu szlakiem Great North Road.

– Wyjazd przez Finchley – zamruczał jakiś głos – potem przez Hatfield do Peterborough, omijając po prawej Cambridge.

Decyzja zapadła. Mapę zwinięto. Trzy postaci – David Henniker, Simon O’Neill i ja – podniosły się z chodnika i ruszyły do samochodu. Policjant rzucił im ostatnie spojrzenie i poszedł swoją drogą, lustrując obojętnie niekończący się rząd parkanów wzdłuż ulicy.

Przygotowania do wyprawy przebiegały dość chaotycznie. W pewien weekend na początku maja David pojawił się w Oksfordzie i poprosił, żebym poszedł z nim na kolację. Jedliśmy osobliwie przyrządzoną solę: z przypieczonym sosem angielskim i winogronami muszkatowymi. David zaproponował, żebyśmy wybrali się we trójkę z Geoffreyem Pratem w „podróż na Bałkany”. Brzmiało zachęcająco. Zaczęliśmy planować trasę, uznaliśmy jednak, że nie

poradzimy sobie bez atlasu. Po kolacji David wsiadł w samochód i pojechał do domu.

Kilka dni później Wembley po raz drugi otwarło podwoje dla angielskich patriotów. Pierwszą osobą, która rzucała się w oczy po wejściu do lunaparku, był Simon, w rękawiczkach i meloniku, siedzący sztywno, jakby kij połknął, w wagoniku kolejki górskiej Giant Racer. Czuł się wyraźnie nie na miejscu w towarzystwie chłopczyka w cynobrowej czapce i zmył się jak niepyszny, skoro tylko podeszliśmy do kasy. Ubiegły rok spędził na wyspach Galapagos, dokąd udał się z ekspedycją naukową. Od jego powrotu nie mieliśmy okazji się z nim zobaczyć – podobnie jak on nie miał wcześniej okazji odwiedzić Wembley.

Kiedy znów się pojawił i dzielnie zniósł wylewne powitania po tak długiej nieobecności, spytaliśmy go, co porabia. Odparł, że jeszcze nie wie. Zaproponowałem, żeby przyłączył się do wyprawy Davida na Bałkany. Pojechalibyśmy w dwa samochody. Powiedział, że chyba da się zrobić. Tymczasem zza rogu wychyłała grupka policjantów, zajętych poszukiwaniem kilku zaginionych żelaznych krzeseł. Zapusciliśmy się w uliczki Hongkongu, skąd skręciliśmy w boczny zaułek do Trynidadu, gdzie uraczyliśmy się koktajlem Planter's Punch. Wreszcie wyszliśmy na Shaftesbury Avenue.

Na początku lipca potencjalni uczestnicy wycieczki spędzili przedłużony weekend u Davida w Highworth. Umówiliśmy się, że Simon i ja pojedziemy jednym samochodem, a drugim zabiorą się David i Geoffrey Pratt. Trzy albo cztery dni później Simon oświadczył, że z rozmaitych względów nie uda mu się załatwić auta. Uznałem, że cały ten pomysł był zbyt piękny, żeby mógł być prawdziwy, zrezygnowałem z udziału w wyprawie i postanowiłem udać się w zamian do Irlandii.

We wtorek 28 lipca dostałem jednak od Davida depeszę z pytaniem, czy zechciałbym w sobotę ruszyć z nimi na Bałkany. Jak się okazało, Geoffrey Pratt musiał wycofać się w ostatniej chwili, bo

dostał tylko dwa tygodnie wolnego. Pojechalibyśmy we trójkę z Davidem i Simonem.

Następny dzień zszedł mi na kursowaniu między urzędem paszportowym a biurem Thomasa Cooka przy Ludgate Circus; nazajutrz wpadłem do domu, żeby się spakować, i zaliczyłem w pociągu sprzeczkę z pewną kobietą w białym boa z piór, która okazała się siostrą miejscowego pastora. W piątek wróciłem do Londynu i czekałem w gotowości na wysepce ulicznej u wylotu Haymarket, kiedy spomiędzy dwóch autobusów wyłonił się niespodzianie David i oznajmił, że ruszamy dziś w nocy. Reszta wieczoru upłynęła w atmosferze gorączkowego podniecenia. Kwadrans po dziesiątej David i Simon podjechali autem pod drzwi frontowe. Wyprawa się rozpoczęła.



Trudno powiedzieć, by nasza kompania nie rzucała się w oczy. Samochód, duży Sunbeam Tourer, był pociągnięty lakierem w ciemnym, niemal wpadającym w czerń odcieniu granatowej szarości. Diana – tak mu było na imię – miała piękną linię nadwozia i maskę, której powierzchnia niemal na całej długości pokrywała się z górną krawędzią drzwiczek. Bak był nisko zawieszony i zajmował bardzo dużo miejsca, przez co już w trzecim dniu podróży straciliśmy rurę wydechową i tylne oświetlenie. W przednich narożnikach, po obu stronach nadwozia, zamocowano koła na wymianę: z drucianymi szprychami, każde z zapasową oponą.

Cały tył pojazdu wypełniły bagaże. Na samym dnie, z dala od wzroku policjantów i kolejnych celników, wylądowały trzydziestogalonowy zbiornik z paliwem, puszka oleju, cztery amortyzatory, piętnaście dętek w pudłach z żółtego kartonu, które w pierwszym dniu jazdy rozpadły się w drobny mak, i niemożliwy do ogarnięcia śmietnik złożony z lasek, kapeluszy, książek, czasopism i

upchniętych bezładnie narzędzi. U góry, na siedzeniu ze zdjętą tapicerką, stanął ciężki bagaż: monstrualny żółty kufer Simona, wystający co najmniej dwie stopy ponad składany dach, wielki brązowy kufer Davida i średnich rozmiarów czarna skrzynia należąca do mnie. Od frontu upchnęliśmy lżejsze bagaże: dwie walizy, wyładowane po brzegi leżakowanym winem w butelkach zabezpieczonych płóciennymi woreczkami, oraz mocno podniszczony sakwojaż o praktycznie nieograniczonej pojemności. Na przedzie, w jednym szeregu, zasiadł trzyosobowy ludzki potencjał ekspedycji.

Jako że zainteresowanie czytelnika dalszą relacją z tej podróży jest w znacznej mierze uzależnione od jego własnych zapatrywań na znajome już miejsca i dość banalne przygody, które są udziałem większości turystów, nie będę się zanadto rozwodził nad przeszłością naszej kompanii. Cała trójka skończyła tę samą szkołę i studiowała na tym samym uniwersytecie. Bramy tego przybytku, określanego nieraz mianem „jednej z najlepszych prywatnych uczelni w kraju”, David opuścił wcześniej niż Simon i ja, którzy też nie jesteśmy równolatkami. Zapadł mi w pamięć jako starszy ode mnie chłopak, rozmiłowany w pieszych polowaniach, wytrwale i z uporem uganiający się z psami po świeżo zaoranych polach, z wydatnym nosem utkwionym w chmurach i opuszczonym ku ziemi spojrzeniem jasnych, niebieskozielonych oczu.

– Ten tam to O’Neill – powiadomił mnie współlokator Simona. – Dziwak. Mówi, że jest komunistą. Wyjątkowo inteligentny. Owszem, lubię go.

Był rok 1921. Określenie „komunista” uchodziło wówczas za tożsame ze słowem „bolszewik”, a ulice Moskwy właśnie spływały krwią. Brzmiało podejrzanie, nawet jeśli chłopak tylko udawał.

Następnej Wielkanocy Simon zniknął, więc znałem go tylko z widzenia.

David wyniósł się z kraju na rok przed końcem wojny. Podejrzewano, że cierpi na astmę oskrzelową, więc przeprowadził się wraz z rodziną do Kanady. Uczęszczał do tamtejszej szkoły i na Uniwersytet MacGill. Potem wrócił do Oksfordu. Simon i ja podjęliśmy studia trzy lata później. Simon spędził prawie cały 1922 rok w Tours, gdzie i ja się uczyłem.

Komunizm Simona okazał się niefortunną konsekwencją jego sympatii do ludzi, którym mniej się poszczęściło w życiu. Podczas naszej wyprawy snuł mętne rozważania o potrzebie nacjonalizacji banków. Jeśli pominąć ten szczegół, miał w Oksfordzie opinię wyjątkowo zdolnego historyka. Lubuje się w niejasnościach oraz paradoksach prozy Chestertona i Belloc'a, wywracających do góry nogami zapatrywania wszelkich autorytetów na dowolną kwestię. Dysponuje tyleż zdumiewającą, co przypadkową znajomością powszechnie lekceważonych faktów, w rodzaju daty śmierci ostatniej kobiety, która posługiwała się językiem kornijskim, bądź dokładnych rozmiarów tradycyjnej albańskiej fustanelli. Jest niebywale czytany.

Niestety, jego stosunki z wykładowcami nie układały się najlepiej. Nie przejmując się brakiem stopnia, zrezygnował z uciech studenckiego życia i zabrał się do pisania książki o prześladowaniach religijnych w czasach Cromwella. Potem wziął udział w ekspedycji naukowej. Badacze z bliżej nieokreślonych przyczyn postanowili wybrać się w podróż żaglowcem i spędzili większość czasu, oczekując funduszy w Panamie, co pociągnęło za sobą całkowitą demoralizację załogi. W mieście aż się roiło od amerykańskich oficjeli oraz ich żon. Ekspedycja dotarła w końcu na wyspy Galapagos, gdzie z kolei przyszło jej się zmierzyć z widmem śmierci głodowej. Na szczęście Simon zdążył się wcześniej odłączyć.

Simon sprawia wrażenie osoby rzetelnej i schludnej. Nosi koszule ze sztywnym kołnierzykiem i wpina w krawat szpilkę z perłą. Ilekroć to możliwe, przebiera się do kolacji. Obydwaj z Davidem wcześniej stracili ojców.

David jest ulepiony z innej gliny. Wyróżnia się isticie nadnaturalnym wigorem. Jest leniwy, po części dlatego, że to go wyczerpuje. Cokolwiek jednak robi, staje się samo przez się istotne i warte uwagi.

Jest szczupły i dysponuje niezwykle bogatą garderobą, złożoną z modnych, jakkolwiek nieco ponurych ubrań. Podczas gdy Simon jest nieśmiały i nie umie prowadzić płynnych konwersacji z cudzoziemcami, David nie ma podstawowego poczucia wstydu i potrafi rozprawiać do upadłego z dowolną istotą, która zna choćby jedno słowo po francusku, niemiecku albo angielsku. Jest także biegły w historii, interesuje się jednak przede wszystkim zdobnictwem i architekturą. W tej drugiej dziedzinie jest purystą. Dla obydwu z Simonem sentymentalizm i romantyzm – równie nieudolnie maskujące wady budowli, jak sztuczność legendy – są nie tylko pozbawione sensu, ale wręcz odrażające. Akurat pod tym względem różnimy się zasadniczo.

Jak już wcześniej wspomniano, wiedza Simona o wszechświecie ograniczała się do Panamy, kilku bezludnych wysp i Tours. Co do mnie, wiosną 1923 roku spędziłem pięć tygodni we Włoszech, w komfortowych warunkach, i mogłem się popisać niejaką znajomością kraju i jego zabytków. Byłem też w kilku miejscach Europy Środkowej. Z nas trzech tylko David miał więcej niż pobieżne obeznanie z geografią i ludnością Europy. Dobrze znał Francję. Był świadkiem powojennych rozruchów rewolucyjnych w Niemczech. W 1924 roku dotarł samochodem aż pod granicę ZSRR, przez półtora miesiąca włóczył się po Polsce, a w drodze powrotnej zahaczył o Pragę, Wiedeń i Rzym. To była doprawdy niezwykła podróż, która mogła się udać wyłącznie dzięki jego zapobiegliwości. David miał wyjątkową ambicję poznania całego globu i wszystkich zaludniających go plemion.

Żeby zyskać wycucie proporcji najrozmaitszych składników współczesnego świata, trzeba jasno określić pozycję, jaką zajmuje w

nim cywilizacja Stanów Zjednoczonych. Można to uczynić jedynie przez porównanie z Europą. Niemniej Europa jako całość stanowi tak zagadkową masę dla większości jej mieszkańców, wychowanych w zgubnej tradycji zbrojnego zaścianka, że nie są w stanie ocenić kontrastu między własną, wspólną cywilizacją, budowaną pieczołowicie od dwóch tysięcy lat, a wstecznym industrializmem, który wyrósł z dnia na dzień po drugiej stronie Atlantyku. Trudno się wprawdzie spodziewać, by poczynania trzech młodych mężczyzn, opisane piórem jednego z nich, miały wnieść cokolwiek istotnego do tych rozważań. Jeśli wszakże jest nadzieja, że dadzą choćby wykoślawiony obraz kontynentu, w którego skład wchodzi również Anglia, i jakkolwiek ugruntuują kształtujące się stopniowo poczucie „świadomości europejskiej”, niech czytelnik wybaczy to chaotyczne nagromadzenie trywialnych faktów i nieistotnych spostrzeżeń, z którym zetknie się w dalszej części tej książki.

